

# HARLAN COBEN

## W głębi lasu

Thriller

# Prolog

Widzę mojego ojca z łopata.

Po twarzy spływają mu łzy. Straszny, gardłowy szloch wyrывa się z jego piersi i ust. Podnosi i wbija łopatę. Jej ostrze tnie ziemię, jakby była wilgotnym ciałem.

Mam osiemnaście lat i to jest moje najżywsze wspomnienie ojca — w tych lasach, z tą łopata. Nie wie, że go obserwuję. Chowam się za drzewem, podczas gdy on kopie. Robi to wściekle, jakby ziemia rozgniewała go i teraz się na niej mścił.

Jeszcze nigdy nie widziałem ojca płaczącego — nie, kiedy umarł jego ojciec, nie wtedy, gdy moja matka uciekła i nas zostawiła, a nawet nie wtedy, gdy dowiedział się o mojej siostrze, Camille. Jednak teraz płacze. Nie wstydzi się łez. Spływają strumieniami po jego twarzy. Łkanie odbija się echem wśród drzew.

Po raz pierwszy podglądam go w taki sposób. W soboty przeważnie udaje, że jedzie na ryby, ale nigdy tak naprawdę w to nie wierzyłem. Zawsze wiedziałem, że to miejsce, to okropne miejsce, jest skrywanym celem jego podróży.

Ponieważ czasem jest również moim.

Stoję za drzewem i obserwuję go. Zrobię to jeszcze osiem razy. Nigdy mu nie przerwę, nigdy się nie pokażę. Sądzę, że on nie wie, że tu jestem. Prawdę mówiąc, jestem tego pewien. Aż

pewnego dnia, idąc do samochodu, ojciec spogląda na mnie suchymi oczami i mówi:

— Nie dziś, Paul. Dzisiaj pojedę tam sam.

Patrzę, jak odjeżdża. Udaje się w te lasy po raz ostatni.

Na łożu śmierci, dwadzieścia lat później, ojciec bierze mnie za rękę. Jest odurzony. Jego dłonie są szorstkie i twarde. Używał ich przez całe życie — nawet w lepszych czasach w kraju, którego już nie ma. Jest jednym z tych twardych ludzi, których skóra jest spieczona i gruba, wygląda jak skorupa żółwia. Okropnie cierpi, ale nie roni łez.

Po prostu zamyka oczy i jakoś to znosi.

Przy ojcu zawsze czuję się bezpiecznie, nawet teraz, chociaż jestem już dorosły i też mam dziecko. Trzy miesiące temu, kiedy jeszcze był silny, poszliśmy do baru. Wywiązała się bójka. Ojciec zasłonił mnie swoim ciałem, gotowy załatwić każdego, kto się do mnie zbliży. Nadal. Tak właśnie jest.

Patrzę na niego, leży na łożku. Myślę o tamtych dniach w lasach. Myślę o tym, jak kopał, jak w końcu przestał, jak sądziłem, że zrezygnował po tym, jak odeszła moja matka.

— Paul?

Ojciec nagle się ożywia.

Chcę prosić go, żeby nie umierał, ale to nie byłoby w porządku. Już przez to przechodziłem. To nie pomaga. Nikomu.

— W porządku, tato — mówię. — Wszystko będzie dobrze.

Nie uspokaja się. Próbuje usiąść. Chcę mu pomóc, ale mnie odpycha. Spogląda mi głęboko w oczy i widzę, że myśli jasno, choć może jest to jedna z tych rzeczy, które sobie wmawiamy, kiedy nadchodzi koniec. Ostatnie złudzenie.

Roni jedną łzę. Patrzę, jak powoli spływa po jego policzku.

— Paul — mówi do mnie mój ojciec, nadal z wyraźnym rosyjskim akcentem — musimy ją odnaleźć.

— Odnajdziemy, tato.

Znowu spogląda mi w twarz. Kiwam głową, jednak nie sądzę, żeby oczekiwał potwierdzenia. Po raz pierwszy myślę, że spodziewa się poczucia winy.

— Czy wiedziałeś? — pyta ledwie słyszalnym głosem.

Czuję, że cały drżę, ale nie mrugam, nie odwracam oczu. Zastanawiam się, co widzi, w co wierzy. Nigdy się tego nie dowiem.

Ponieważ wtedy, właśnie wtedy, mój ojciec zamyka oczy i umiera.

# 1

## Trzy miesiące później

Siedziałem w sali gimnastycznej szkoły podstawowej, patrząc, jak moja sześciolatnia córka Cara nerwowo kroczy po równoważni, znajdującej się około dziesięciu centymetrów nad ziemią, a za niecałą godzinę miałem zobaczyć twarz człowieka, który został brutalnie zamordowany.

Co nie powinno nikogo szokować.

Z biegiem lat dowiedziałem się — w sposób najokropniejszy z możliwych — że linia między życiem a śmiercią, między nadzwyczajną urodą a odpychającą brzydotą, między niewinną rozmową a rozlewem krwi, jest bardzo cienka. Wystarczy moment, żeby ją przekroczyć. W jednej chwili życie wydaje się sielanką. Jesteś w miejscu tak niewinnym, jak sala gimnastyczna szkoły podstawowej. Twoja córeczka stawia niepewne kroki. Jej głos drży. Ma zamknięte oczy. Widzisz twarz jej matki, sposób, w jaki zamykała oczy i uśmiechała się, i przypominasz sobie, jak cienka jest ta linia.

— Cope?

To był głos mojej szwagierki Greta. Odwróciłem się do niej. Greta jak zwykle spojrzała na mnie z troską. Uspokoilem ją uśmiechem.

— O czym myślałeś? — szepnęła.

Wiedziała. Pomimo to skłamałem:

— O kamerach wideo.

— O czym?

Wszystkie składane krzesła zajmowali inni rodzice. Stałem z tyłu, z założonymi za plecy rękami, oparty o cementową ścianę. Nad wejściem wisiał regulamin, a tu i ówdzie takie irytująco mądre motywujące aforyzmy jak: „Nie mów mi, że niebo jest granicą, skoro są ślady stóp na Księżycu”. Stoliki śniadaniowe były złożone. Oparłem się o jeden, poczułem chłód stali. Sale gimnastyczne podstawówek nie zmieniają się, kiedy się starzejemy. Po prostu wydają się mniejsze.

Wskazałem rodziców.

— Tu jest więcej kamer wideo niż dzieci.

Greta skinęła głową.

— A rodzice filmują wszystko. Dosłownie wszystko. Co oni z tym robią? Czy ktoś naprawdę ogląda to od początku do końca?

— Ty nie?

— Wolałbym urodzić.

Słyszając to, uśmiechnęła się.

— Nie — powiedziała. — Nie wolałbyś.

— Dobrze, w porządku, może nie, lecz czyż wszyscy nie jesteśmy pokoleniem MTV? Szybkie cięcia. Różne kąty. Tymczasem takie zwyczajne filmowanie, żeby później męczyć tym Bogu ducha winnych przyjaciół lub krewnych...

Otworzyły się drzwi. Gdy tylko ci dwaj mężczyźni weszli na salę, natychmiast rozpoznałem w nich gliniarzy. Nawet gdybym nie miał sporego doświadczenia — jestem prokuratorem okręgowym Essex County, obejmującego pełne przemocy miasto Newark — wiedziałbym. Telewizja czasem nie kłamie. Na przykład pokazując sposób, w jaki ubiera się większość policjantów — ojcowie rodzin z bogatego przedmieścia Ridgewood tak się nie ubierają. Nie zakładamy garniturów, idąc zobaczyć, jak nasze dzieci próbują sił w gimnastyce artystycznej. Nosimy sztruksowe lub dżinsowe spodnie i kamizelki w serek na bawełnianych podkoszulkach. Ci dwaj faceci mieli na sobie

źle uszyte brązowe garnitury, a ich brąz przypominał mi kawałki drzewa rozłupanego przez piorun.

Nie uśmiechali się. Omiotli wzrokiem salę. Znałem większość policjantów w okolicy, ale nie tych. To mnie zaniepokoiło. Coś było nie tak. Oczywiście wiedziałem, że nie zrobiłem nic złego, a mimo to czułem to niepokojące ściskanie w dołku — człowieka niewinnego, a jednak mającego poczucie winy.

Moja szwagierka Greta i jej mąż Bob mają troje dzieci. Ich najmłodsza córka, Madison, ma sześć lat i chodzi do tej samej klasy co Cara. Po śmierci mojej żony Jane — siostry Grety — przenieśli się do Ridgewood. Greta twierdzi, że i tak zamierzali to zrobić. Wątpię. Jestem im jednak tak wdzięczny, że tego nie kwestionuję. Nie wyobrażam sobie, co bym bez nich zrobił.

Zwykle inni ojcowie stoją ze mną z tyłu, lecz ze względu na porę dnia przyszło ich niewielu. Matki — oprócz jednej, gniewnie spoglądającej na mnie znad kamery wideo, ponieważ usłyszała moją tyradę o domorosłych filmowcach — uwielbiają mnie. A raczej nie mnie, tylko moją historię. Moja żona zmarła przed pięcioma laty, a ja sam wychowuję córeczkę. W miasteczku są inni samotni rodzice, głównie rozwiedzione matki, lecz mnie traktuje się ulgowo. Jeśli zapomnę podpisać dzienniczek, spóźnię się, by odebrać córkę albo zostawię jej śniadanie w szatni, inna matka lub ktoś z personelu natychmiast spieszy mi z pomocą. Uważają moją męską bezradność za pociągającą. Jeśli któraś z tych rzeczy przydarzy się samotnej matce, inne spoglądają na nią z pogardą, uważając, że jest nieudolna.

Dzieci nadal balansowały lub chwiały się, zależy jak na to patrzeć. Ja patrzyłem na Carę. Potrafiła się skupić i nieźle sobie radziła, ale podejrzewałem, że po ojcu odziedziczyła słabą koordynację ruchową. Dzieciom pomagały dziewczęta z licealnej drużyny gimnastycznej. Były znacznie starsze, zapewne siedemnasto- lub osiemnastoletnie. Ta, która asekurowała Carę przy próbie przewrotu w przód, przypominała mi moją siostrę. Moja siostra Camille zmarła, będąc mniej więcej w jej wieku, i media nigdy nie pozwoliły mi o tym zapomnieć. Może to dobrze.

Moja siostra byłaby teraz dobrze po trzydziestce, tak jak większość tych matek. Dziwnie jest myśleć o tym w ten sposób. Zawsze widzę Camille jako nastolatkę. Trudno ją sobie wyobrazić, gdzie byłaby — gdzie powinna być teraz — siedzącą na jednym z tych składanych krzeseł, z głupio szczęśliwym matczynym uśmiechem na twarzy, filmującą bez końca swoją pociechę. Zastanawiam się, jak wyglądałaby dzisiaj, ale zawsze widzę tylko nastolatkę, która umarła.

Może się wydawać, że mam obsesję śmierci, lecz jest ogromna różnica pomiędzy zamordowaniem mojej siostry a przedwczesną śmiercią mojej żony. Ta pierwsza, siostry, kierowała mną, kiedy wybierałem zawód i obejmowałem stanowisko. Mogę walczyć z taką niesprawiedliwością na sali sądowej. I robię to. Próbuję uczynić świat bezpieczniejszym, pakować za kratki tych, którzy chcą krzywdzić innych, dać innym rodzinom to, czego moja nigdy nie miała — pewność.

W obliczu drugiej śmierci — mojej żony — byłem zupełnie bezradny i rozkojarzony, i obojętnie, co zrobię teraz, nigdy nie zdołałem tego naprawić.

Dyrektorka szkoły przywołała na przesadnie umalowane usta sztuczny zatroskany uśmiech i ruszyła w kierunku policjantów. Zaczęła z nimi rozmawiać, lecz oni nawet na nią nie spojrzeli. Obserwowałem ich oczy. Kiedy wyższy z nich, z pewnością także stopniem, dostrzegł moją twarz, znieruchomiał. Przez moment żaden z nas się nie poruszył. Potem nieznacznym ruchem głowy kazał mi opuścić tę bezpieczną kryjówkę pełną roześmianych i chwiejących się dzieci. Odpowiedziałem takim samym skinieniem.

— Dokąd idziesz? — zapytała Greta.

Nie chcę, by zabrzmiało to niemiło, ale Greta jest brzydką siostrą. Były podobne, ona i moja śliczna nieżyjąca żona. Łatwo było zgadnąć, że miały tych samych rodziców. Jednak wszystko to, co było pociągające w Jane, nie posłużyło Grecie. Moja żona miała wydatny nos, który dodawał jej seksapilu. Greta też ma wydatny nos, który jest... no cóż, duży. Szeroko



rozstawione oczy mojej żony dodawały jej urodzie szczypty egzotyki. Ten sam szeroki rozstaw nadaje Grecie wygląd nieco zmiłowaty.

— Nie jestem pewien — odparłem.

— Praca?

— Być może.

Spojrzała na tych dwóch, prawdopodobnie gliniarzy, a potem znów na mnie.

— Miałam zabrać Madison na lunch do Friendly's. Chcesz, żebym wzięła Carę?

— Pewnie, byłoby wspaniale.

— Mogę też zabrać ją po szkole.

Skinąłem głową.

— Bardzo byś mi pomogła.

Greta cmoknęła mnie w policzek, co rzadko jej się zdarza. Ruszyłem do drzwi. Odprowadzały mnie wybuchy dziecięcego śmiechu. Wszedłem na korytarz. Dwaj policjanci poszli za mną. Szkolne korytarze też niewiele się zmieniają. Mieszkają w nich echa niczym w nawiedzonym domu, dziwny rodzaj napiętej ciszy oraz słaby, lecz wyczuwalny zapach, który zarówno uspokaja, jak pobudza.

— Pan jest Paul Copeland? — zapytał ten wyższy.

— Tak.

Spojrzał na swego partnera. Był niższy, krępy, o byczym karku, z głową jak żużlobetonowy pustak. Chropowata skóra jeszcze pogłębiała to wrażenie. Zza rogu wyszła klasa, chyba czwartoklasiści. Wszyscy byli zaczerwienieni z wysiłku. Przeszli obok nas, a za nimi ich udręczona nauczycielka. Uśmiechnęła się do nas z przymusem.

— Może powinniśmy porozmawiać na zewnątrz — powiedział wyższy.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Wprawdzie byłem niewinny, ale z doświadczenia wiedziałem, że z gliniarzami nic nigdy nie jest takie, jak się wydaje. Tu nie chodziło o tę wielką sprawę z pierwszych stron gazet, nad

którą pracowałem. Gdyby tak było, zadzwoniliby do mojego biura. Otrzymałbym wiadomość przez komórkę lub mailem na palmtopa.

Nie, przyszedli tu z jakiegoś innego powodu, bardziej osobistego.

Byłem absolutnie pewien, że nie zrobiłem nic złego. Jednak w swoim czasie widziałem chyba wszelkiego rodzaju podejrzanych i wszystkie rodzaje reakcji. Może was to zaskoczy. Na przykład kiedy policja zatrzymuje głównego podejrzanego, często godzinami każe mu czekać w pokoju przesłuchań. Można by sądzić, że winni będą gryzli ściany, ale przeważnie jest wprost przeciwnie. To niewinni często są najbardziej niespokojni i zdenerwowani. Nie mają pojęcia, dlaczego zostali zatrzymani i o co policja omyłkowo ich podejrzewa. Winni często zasypiają.

Staliśmy na zewnątrz. Słońce prażyło. Ten wysoki zmrużył oczy i osłonił je dłonią. Pustak nie dał nikomu takiej satysfakcji.

— Jestem detektyw Tucker York — oznajmił wysoki. Wyjął odznakę, a potem wskazał Pustaka. — To jest detektyw Don Dillon.

Dillon też wyjął legitymację. Pokazali mi je. Nie wiem, po co to robią. Czy tak trudno je podrobić?

— Co mogę dla panów zrobić? — zapytałem.

— Zechciałby pan powiedzieć, gdzie pan był zeszłej nocy? — zapytał York.

Po takim pytaniu powinny zawyć syreny. Ja natychmiast powinienem przypomnieć im, kim jestem i oświadczyć, że nie odpowiem na żadne pytania, dopóki nie zjawi się mój adwokat. Jestem jednak prawnikiem. I to cholernie dobrym. Co — oczywiście — czyni mnie jeszcze większym głupcem, jeśli reprezentuję sam siebie. Ponadto jestem tylko człowiekiem. Wypytywany przez policję, nawet taki stary wyga jak ja chce pomóc. To odruchowe.

— Byłem w domu.

— Czy ktoś może to potwierdzić?

— Moja córka.

York i Dillon spojrzeli na szkołę.

— To ta dziewczynka, która balansowała na równoważni?

— Tak.

— Ktoś jeszcze?

— Nie sądzę. A o co chodzi?

York wziął na siebie ciężar rozmowy. Zignorował moje pytanie.

— Zna pan niejakiego Manola Santiaga?

— Nie.

— Jest pan pewien?

— Prawie pewien.

— Dlaczego tylko prawie pewien?

— Czy pan wie, kim jestem?

— Taa — odparł York i zakasłał, zasłaniając usta pięścią. — Mamy może ukłknąć i ucałować pański sygnet albo co?

— Nie to miałem na myśli.

— Dobrze, więc nadajemy na tej samej fali. — Nie podobało mi się jego nastawienie, ale puściłem to płazem. — No więc dlaczego jest pan tylko „prawie pewien”, że nie zna Manola Santiaga?

— Chciałem powiedzieć, że to nazwisko nic mi nie mówi. Nie sądzę, żebym go znał. Może jednak jest to ktoś, kogo oskarżałem albo przesłuchiwałem jako świadka w jakiejś sprawie, albo — do licha — spotkałem dziesięć lat temu na jakiejś wencie dobroczynnej.

York skinął głową, zachęcając mnie, żebym plótł dalej. Nie zamierzałem.

— Zechce pan pojechać z nami?

— Dokąd?

— To nie potrwa długo.

— To nie potrwa długo — powtórzyłem. — Nie znam takiego miejsca.

Gliniarze spojrzeli po sobie. Staralem się sprawiać wrażenie nieustępliwego.

— Niejaki Manolo Santiago został zamordowany zeszłej nocy.

- Gdzie?
- Jego ciało znalezione na Manhattanie. W okolicy Washington Heights.
- A co to ma wspólnego ze mną?
- Sądzimy, że może będzie mógł nam pan pomóc.
- Pomóc? W jaki sposób? Już mówiłem, że go nie znam.
- Powiedział pan... — York naprawdę zerknął do notesu, ale tylko dla efektu, gdyż niczego nie notował, kiedy mówiłem — że jest pan „prawie pewien”, że go nie zna.
- Zatem jestem pewien. W porządku? Jestem pewien.
- Dramatycznym gestem zatrzaskał notes.
- Pan Santiago pana znał.
- Skąd o tym wiecie?
- Wolelibyśmy to pokazać.
- A ja wolałbym to usłyszeć.
- Pan Santiago — York zawahał się, jakby z trudem znajdował odpowiednie słowa — miał przy sobie pewne przedmioty.
- Przedmioty?
- Tak.
- Mógłby pan to sprecyzować?
- Przedmioty — rzekł — wskazujące na pana.
- Wskazujące na mnie jako kogo?
- Hej, panie oskarżycielu...
- Dillon — czyli Pustak — w końcu przemówił.
- Prokuratorze okręgowy — poprawiłem.
- Obojętnie. — Zadarł głowę i wycelował palec w moją pierś. — Od takiego gadania zaczyna mnie swędzieć dupsko.
- Słucham?
- Dillon przysunął swoją twarz do mojej.
- Czy wyglądamy, jakbyśmy przyszli tu wysłuchać jakiegoś cholernego wykładu z semantyki?
- Uznałem to za pytanie retoryczne, ale wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.
- Nie — powiedziałem w końcu.

— No to słuchaj pan. Mamy trupa. Facet jest mocno z panem powiązany. Chce pan pojechać z nami i pomóc nam to wyjaśnić czy bawić się w te słowne gierki, które robią z pana podejznanego jak diabli?

— Wydaje się panu, że do kogo pan mówi, detektywie?

— Do ubiegającego się o fotel faceta, który nie chciałby, żebyśmy poszli z tym prosto do prasy.

— Grozi mi pan?

York zainteresował:

— Nikt tu nikomu nie grozi.

Jednak Dillon trafił w czuły punkt. Istotnie, objąłem stanowisko tylko czasowo. Mój przyjaciel, obecny gubernator Garden State, mianował mnie tymczasowym prokuratorem okręgowym. Poważnie napomykano o mojej kandydaturze do Kongresu, może nawet na wolne miejsce w Senacie. Skłamałbym, mówiąc, że nie mam żadnych ambicji politycznych. Skandal, nawet wyszany z palca, dobrze by mi nie zrobił.

— Nie widzę, w jaki sposób mógłbym pomóc — powiedziałem.

— Może pan widzi, a może nie. — Dillon pokręcił pustakiem. — Jednak chce pan nam pomóc, jeśli pan może, prawda?

— Oczywiście — odparłem. — Nie chcę, żeby dupsko swędziało pana bardziej, niż powinno.

Prawie się uśmiechnął.

— No to wsiadajmy do samochodu.

— Mam po południu ważne spotkanie.

— Wrócimy do tej pory.

Spodziewałem się poobijanego chewroleta caprice, ale to był ford, w niezłym stanie. Moi nowi znajomi usiedli z przodu. Nie rozmawialiśmy w czasie jazdy. Na moście Jerzego Waszyngtona panował duży ruch, ale po prostu włączyliśmy syrenę i przejechaliśmy. Kiedy znaleźliśmy się na Manhattanie, York się odezwał:

— Uważamy, że Manolo Santiago może być przybrany nazwiskiem.

— Yhm — mruknąłem, ponieważ nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Widzi pan, nikt nie zidentyfikował ofiary. Znaleźliśmy go zeszłej nocy. Miał prawo jazdy wystawione na nazwisko Manolo Santiago. Sprawdziliśmy. Wydaje się, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. Sprawdziliśmy odciski palców. Nic. Tak więc nie wiemy, kim jest.

— I myślicie, że ja będę wiedział?

Nie facygowali się odpowiedzią.

— Jest pan wdowcem, panie Copeland, prawda? — spytał York głosem różnym jak wiosenny dzionek.

— Prawda — odparłem.

— To musi być trudne. Samemu wychowywać dziecko.

Nic nie powiedziałem.

— Wiemy, że pańska żona miała raka. Teraz działa pan w jakiejś organizacji finansującej poszukiwania lekarstwa.

— Yhm.

— Godne podziwu.

Żebyście wiedzieli.

— Musi się pan dziwnie czuć — zauważył York.

— Z czym?

— Będąc po drugiej stronie. Zwykle to pan zadaje pytania, a nie odpowiada na nie. To musi być trochę dziwne.

Uśmiechnął się do mnie w lusterku.

— Hej, York? — zagadnąłem.

— Co?

— Masz swoją filmografię albo zdjęcia? — zapytałem.

— Co takiego?

— Filmografię — powtórzyłem. — No wie pan, żebym mógł sprawdzić, w czym pan grał, zanim obsadzili pana w wymarzonej roli dobrego policjanta.

York zachichotał.

— Ja tylko mówię, że to dziwne, nic więcej. A co, czy był pan już kiedyś przesłuchiwany przez policję?

Podstępne pytanie. Musieli wiedzieć, że tak. Kiedy miałem

osiemnaście lat, pracowałem jako wychowawca na letnim obozie. Pewnej nocy czwórka uczestników — Gil Perez i jego dziewczyna, Margot Green, Doug Billingham i jego dziewczyna Camille (czyli moja siostra) — wymknęła się do lasu.

Już nie zobaczono ich żywych.

Odnaleziono tylko dwa ciała. Margot Green, lat siedemnaście, została znaleziona z poderżniętym gardłem trzydzieści metrów od obozu. Doug Billingham, również siedemnastoletni, został znaleziony ponad pół kilometra dalej. Miał kilka ran kłutych, ale przyczyną śmierci było poderżnięcie gardła. Ciało dwojga pozostałych — Gila Pereza i mojej siostry Camille — nigdy nie znaleziono.

Sprawa znalazła się na pierwszych stronach gazet. Wayne'a Steubensa, opiekuna dzieciaków z bogatych rodzin, złapano dwa lata później — po jego trzecim lecie terroru — ale dopiero kiedy zamordował jeszcze co najmniej czworo nastolatków. Media nazwały go Letnim Rzeźnikiem — z aż nadto oczywistych powodów. Następne dwie ofiary Wayne'a znaleziono w pobliżu obozu skautów w Muncie, w stanie Indiana. Inna ofiara była uczestniczką jednego z letnich obozów wędrownych w pobliżu Vienny w Wirginii. Ostatnia ofiara przebywała na obozie sportowym w Poconos. Większość miała poderżnięte gardła. Wszystkie zostały pogrzebane w lasach, niektóre zanim umarły. Tak, pogrzebane żywcem. Odnalezienie ich ciał zajęło sporo czasu. W przypadku tego dzieciaka z Poconos sześć miesięcy. Większość ekspertów uważała, że ofiar było więcej i wciąż są tam gdzieś pod ziemią, w głębi lasów.

Tak jak moja siostra.

Wayne nigdy nie przyznał się do winy, i chociaż osiemnaście ostatnich lat spędził w więzieniu o zastrzonym rygorze, upiera się, że nie miał nic wspólnego z tymi czterema morderstwami, od których to wszystko się zaczęło.

Nie wierzę mu. Fakt, że co najmniej dwa ciała wciąż tam są, prowadzi do rozmaitych spekulacji i owiewa tę sprawę mgiełką tajemnicy. W ten sposób Wayne budzi większe zainteresowanie.

Sądzę, że to lubi. Jednak ta niepewność — cień wątpliwości — wciąż boli jak diabli.

Kochałem moją siostrę. Jak wszyscy. Większość ludzi uważa, że najgorsza jest śmierć. Nic podobnego. Po pewnym czasie nadzieja jest o wiele okrutniejszą panią. Kiedy żyjesz z nią tak długo jak ja, z mieczem nad głową przez całe dni, potem miesiące, a wreszcie lata, zaczynasz marzyć, żeby opadł i ściał ci głowę. Większość ludzi sądzi, że moja matka odeszła, ponieważ moja siostra została zamordowana. Wprost przeciwnie. Moja matka odeszła, ponieważ nie zdołaliśmy tego dowieść.

Chciałbym, żeby Wayne Steubens powiedział nam, co z nią zrobił. Nie po to, żeby wyprawić jej odpowiedni pogrzeb ani nic takiego. To byłby miły, lecz bezsensowny gest. Śmierć jest czystą, destrukcyjną siłą, jak kula do burzenia murów. Uderza, niszczy twoje życie i zaczynasz je odbudowywać. Natomiast niewiedza — ta niepewność, ten cień wątpliwości — bardziej upodabnia śmierć do działania termitów lub innych niestrudzonych owadów. Zżera cię od środka. Nie możesz tego powstrzymać. Nie możesz odbudować swego życia, ponieważ ta niepewność wciąż będzie cię dręczyć.

Myślę, że nadal dręczy.

Media zawsze zajmowały się tą częścią mojego życia, chociaż bardzo chciałem zachować ją dla siebie. Nawet szybkie wyszukiwanie przez Google skojarzy moje nazwisko z tajemnicą zaginionych obozowiczów, jak szybko nazwano tę sprawę. Do licha, wciąż pokazują ją w programach o „prawdziwych przestępstwach” na kanałach Discovery lub Court TV. Byłem tam tamtej nocy w tych lasach. Moje nazwisko łatwo znaleźć. Rozmawiałem z policją. Przesłuchiowano mnie. Nawet podejrzewano.

Tak więc musieli o tym wiedzieć.

Wolałem nie odpowiadać. York i Dillon nie nalegali.

Kiedy przybyliśmy do kostnicy, poprowadzili mnie długim korytarzem. Nikt nic nie mówił. Nie wiedziałem, co o tym



myśleć. Teraz to, co powiedział York, nabierało sensu. Byłem po drugiej stronie. Widziałem wielu świadków idących tak korytarzem. Widziałem nawet ich reakcje w kostnicy. Zwykle identyfikujący z początku zachowują stoicki spokój. Nie wiem dlaczego. Czy w ten sposób zbierają siły? A może wciąż mają odrobinę — znów to słowo — nadziei? Nie jestem pewien. Tak czy inaczej, ta nadzieja szybko znika. Nigdy nie mylimy się w kwestii tożsamości. Jeśli uważamy, że to nasz bliski, to tak jest. Kostnica to nie miejsce, w którym zdarzają się cuda. Nigdy.

Wiedziałem, że obserwują mnie, sprawdzając, jak reaguję. Zdawałem sobie sprawę z każdego mojego kroku, pozy, wyrazu twarzy. Siliłem się na obojętność, a jednocześnie zastanawiałem dlaczego.

Zaprowadzili mnie do okna. Nie wchodzisz do środka. Zostajesz za szybą. Pomieszczenie było wykafelkowane, tak żeby można je zmywać wodą z węża — maksymalnie uproszczony wystrój i sprzątanie. Wszystkie stoły poza jednym były puste. Ciało nakryto prześcieradłem, ale widziałem etykietkę przywiązaną do dużego palca. Naprawdę używają takich etykietek. Spojrzałem na wystający spod prześcieradła paluch — nie wyglądał znajomo. Tak właśnie sobie pomyślałem. Że nie rozpoznaję tego palucha.

Mózg dziwnie reaguje na stres.

Jakaś kobieta w masce podtoczyła stół bliżej okna. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, wróciłem myślami do dnia, kiedy urodziła się moja córka. Przypomniałem sobie porodówkę. Takie samo okno z cienkimi paskami folii odbijającymi światło. Pielęgniarka, kobieta podobna do tej w kostnicy, podtoczyła do okna wózek z moją córeczką. Właśnie tak. Zapewne kiedy indziej dostrzegłbym w tym jakiś sens — początek i kres życia — ale nie dziś.

Odchyliła prześcieradło. Spojrzałem na twarz. Wszyscy spoglądali na mnie. Wiedziałem o tym. Zabity był mniej więcej w moim wieku, po trzydziestce. Miał brodę. Jego głowa

wyglądała na ogoloną. Miał na niej czepek kąpielowy. Pomyślałem, że to cholernie głupio wygląda, ten czepek, ale wiedziałem, dlaczego mu go założyli.

— Dostał w głowę? — zapytałem.

— Tak.

— Ile razy?

— Dwa.

— Kaliber?

York chrząknął, jakby przypominając mi, że to nie moja sprawa.

— Zna go pan?

Spojrzałem jeszcze raz.

— Nie — odparłem.

— Jest pan pewien?

Już miałem skinąć głową. Coś mnie jednak powstrzymało.

— No co? — zapytał York.

— Dlaczego mnie tu ściągnęliście?

— Chcemy wiedzieć, czy zna pan...

— Dobrze, ale dlaczego pomyśleliście, że mogę go znać?

Zerknąłem w bok i zobaczyłem, że York i Dillon wymienili spojrzenia. Dillon wzruszył ramionami i York przejął piłkę.

— Miał w kieszeni pański adres — powiedział. — Oraz plik wycinków o panu.

— Jestem znaną postacią.

— Tak, wiemy.

Zamilkł. Odwróciłem się do niego.

— Co jeszcze?

— Te wycinki nie były o panu. Niezupełnie.

— A o czym?

— O pana siostrze. I o tym, co zdarzyło się w lasach.

Temperatura opadła o kilka stopni, ale cóż, przecież byliśmy w kostnicy.

— Może był fanem programów kryminalnych — powiedziałem, siłąc się na nonszalancję. — Jest ich mnóstwo.

Zawahał się. Znów wymienił spojrzenia z partnerem.

— Co jeszcze? — spytałem.

— Co ma pan na myśli?

— Co jeszcze miał przy sobie?

York zwrócił się do podwładnego, którego obecności nawet nie zauważyłem.

— Możemy pokazać panu Copelandowi rzeczy osobiste denata?

Nie odrywałem oczu od twarzy zabitego. Była dziobata i pobrużdżona. Spróbowałem ją wygładzić. Nie znałem go. Manolo Santiago był dla mnie obcą osobą.

Ktoś przyniósł czerwony plastikowy worek na dowody. Wysypali zawartość na stół. Z daleka zobaczyłem niebieskie džinsy i flanelową koszulę. Był też portfel i telefon komórkowy.

— Sprawdziliście komórkę? — spytałem.

— Tak. To jednorazówka. Rejestr rozmów jest pusty.

Oderwałem wzrok od twarzy zabitego i podszedłem do stołu. Nogi ugięły się pode mną.

Zobaczyłem kilka złożonych wycinków. Rozwinąłem jeden. Artykuł z „Newsweeka”. Ten ze zdjęciem czworga nastolatków — pierwszych ofiar Letniego Rzeźnika. Zawsze zaczynali od Margot Green, gdyż jej ciało znaleziono od razu. Douga Billingham'a dopiero dzień później. Jednak naprawdę interesująca była dwójka pozostałych. Znaleziono ślady krwi i podarte ubrania należące do Gila Pereza i mojej siostry — ale nie odnaleziono ciała.

Dlaczego?

To proste. Te lasy są rozległe. Wayne Steubens dobrze ukrył zwłoki. Jednak niektórzy ludzie, ci uwielbiający teorie spiskowe, nie kupowali tego. Dlaczego nie znaleziono właśnie tych dwojga? Jak Steubens zdołał tak szybko przenieść i zakopać ciała? Czy miał współnika? Jak tego dokonał? A w ogóle, co ta czwórka robiła w tych lasach?

Nawet dziś, osiemnaście lat po aresztowaniu Wayne'a, ludzie mówią o „duchach” tych lasów albo o tajnych sektach zamieszkujących opuszczone chaty, zbiegłych ze szpitala psychopatach,

ludziach z hakami zamiast rąk i ofiarach upiornych eksperymentów medycznych. Mówią o straszdydle, o znajdowanych popiołach jego ognisk, z porzucanymi wokół kośćmi zjedzonych przez niego dzieci. Opowiadają, że po nocach wciąż słychać wycie Gila Pereza i mojej siostry Camille, domagających się zemsty.

Spędziłem w tych lasach wiele samotnych nocy. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tam był.

Przesunąłem wzrokiem po zdjęciach Margot Green i Douga Billingham. Następnie było fotografią mojej siostry. Widziałem to ujęcie milion razy. Media uwielbiały je, ponieważ wygląda na nim tak cudownie zwyczajnie. Dziewczyna z sąsiedztwa, wasza ulubiona opiekunka do dzieci, słodka nastolatka z tej samej ulicy. Camille wcale taka nie była. Była łobuziakiem o żywych oczach i zuchwałym uśmiechu, który osadzał chłopaków w miejscu. To zdjęcie nie ukazywało jej. A przynajmniej niecałą. Może to kosztowało ją życie.

Już miałem spojrzeć na ostatnią fotografię, Gila Pereza, ale coś mnie powstrzymało.

Moje serce na moment przestało bić.

Wiem, że to brzmi dramatycznie, ale tak się poczułem. Spojrzałem na kupkę monet znalezionych w kieszeni Manola Santiaga i zobaczyłem to, a wtedy jakby ktoś wepchnął dłoń w moją pierś i tak mocno ścisnął serce, że nie mogło już bić.

Cofnąłem się.

— Panie Copeland?

Moja dłoń wyciągnęła się jakby bez mojej woli. Zobaczyłem, jak moje palce chwytają to i podnoszą.

Pierścionek. Dziewczęcy pierścionek.

Spojrzałem na zdjęcie Gila Pereza, chłopca zamordowanego w lasach razem z moją siostrą. Cofnąłem się myślami o dwadzieścia lat. I przypomniałem sobie tę bliznę.

— Panie Copeland?

— Pokażcie mi jego ramię — powiedziałem.

— Przepraszam?

— Jego ramię. — Odwróciłem się do okna i wskazałem trupa. — Pokażcie mi jego cholerne ramię.

York dał znak Dillonowi. Dillon nacisnął guzik interkomu.

— Chce zobaczyć ramię tego faceta.

— Które? — spytała kobieta w kostnicy.

Spojrzeli na mnie.

— Nie wiem — powiedziałem. — Chyba oba.

Wyglądali na zdziwionych, ale kobieta usłyszała. Uniosła prześcieradło.

Tors miał teraz owłosiony. Był cięższy, ważył co najmniej o piętnaście kilo więcej niż wówczas, lecz nie było w tym niczego dziwnego. Zmienił się. Wszyscy się zmieniliśmy. Jednak nie tego szukałem. Chciałem sprawdzić, czy ma na ramieniu tę poszarpaną bliznę.

Miał.

Na lewym ramieniu. Nie jęknąłem ani nic takiego. Jakby ktoś zabrał część mojej rzeczywistości, a ja byłem zbyt odretwiąły, żeby coś z tym zrobić. Po prostu tam stałem.

— Panie Copeland?

— Znam go — powiedziałem.

— Kim on jest?

Wskazałem zdjęcie z gazety.

— Nazywał się Gil Perez.